№ 23. 5. Czerwca 1893

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

W 350 letnią rocznicę śmierci Mikołaja Kopernika *).

W pochodzie cywilizacyjnym ludzkości trzeba szukać zawsze pewnych przywódców, jako niestrudzonych szermierzy nauki, którzy pierwsi rzuciwszy myśl prawdy, głoszą ją śmiało i otwarcie światu całemu, skupiając około siebie coraz więcej i więcej zwolenników. Oni to są świecznikami całej ludzkości, prawdziwymi geniuszami, których blask sławy nigdy nie gaśnie.

Wśród takich to nielicznych zastępów, bezsprzecznie najpierwsze miejsce należy się Mikołajowi Kopernikowi. On to rozwija naukę, która po krótkiej walce z ciemnotą odnosi zwycięstwo, popycha ludzkość na drogę postępu, która odtąd kroczy po niej raźniejszym i szybszym krokiem.

System Ptolemeusza uważany przed Kopernikiem za prawdziwy i jedynie możliwy, bo zgodny z świadectwem zmysłów, z tradycją wieków a wreszcie i z objawieniem boskiem, blisko przez 15. wieków okuł świat ówczesny w tak silne więzy ciemnoty, że nie dziw wcale dlaczego naukę Kopernika przyjęto w pierwszej chwili z takim oporem i z takiem niedowierzaniem.

Bo rzeczywiście, zwykły, niekrytyczny pogląd skłania nas mimowoli do mniemania, że ziemia to niezmierzona równa płaszczyzna, nad którą unoszą się na mocy jakiejś nadprzyrodzonej siły, wszystkie ciała niebieskie jak: słońce, księżyc i gwiazdy. — Tenże sam pogląd każe nam dalej uważać ziemię za stałą i nieruchomą, za centrum całego wszechświata, a słońce za jedną z gwiazd udzielającą jej światła dziennego. Jeżeli zaś pragniemy wytłómaczyć sobie to systematyczne zjawianie się planet, to wystarczy zgodzić się na kulistość tej płaszczyzny ziemi, około której wszystkie ciała niebieskie odbywają ustawicznie jeden i ten sam ruch, rozumie się od wschodu ku zachodowi.

Na takiem to rozumowaniu urósł system geocentryczny, na którym opierały się wszystkie poglądy filozoficzne i teologiczne. Twórcą jego był Klaudjusz Ptolemeusz, żyjący w pierwszej połowie drugiego stulecia po Chrystusie. Olbrzymie dzieło jego pod tytułem „Almagest“ ułożone w 13. księgach, będące niejako zbiorem wszystkich wiadomości starożytnego świata, rozszerzyło się osobliwie w średnich wiekach w nadzwyczaj licznych odpisach i tłumaczeniach, zawładnęło całym światem uczonych, i było jedynem źródłem skąd czerpano wiedzę astronomiczną. Powaga Ptolemeusza i jego poprzedników jak Pitagorasa, Plata i Hipparcha, jak również wielu a wielu ówczesnych uczonych i pisma ojców kościoła, jak św. Augustyna, Luktacjusza, Diodora z Tasu i innych, były tak wielkie, że usuwały wszelką wątpliwość w prawdziwość układu geocentrycznego. — Usuwały i wykluczały tem samem wszelkie obserwacje, doświadczenia i ścisłość rozumowania nad zjawiskami przyrody. To też do 16 wieku żaden z większych myślicieli nie śmiał wystąpić z poglądami wprost przeciwnymi. Dopiero Mikołaj Kopernik pierwszy, zrywając z tradycją wieków, stawia nową tezę, przeciwną uświęconym prawdom i dogmatom.

Ziemia — to tylko jedna z malutkich nieskończenie wielu gwiazd, a słońce to centrum wszechświata. — Ziemia ta dotychczas nieruchoma, odbywa ruch potrójny. *Dzienny*, około swej osi, w kierunku z zachodu na wschód, który tłumaczy łatwo i naturalnie pozorny obrót kuli niebieskiej w kierunku przeciwnym, *roczny* około słońca, również z zachodu na wschód, sprawiający pozorne posuwanie się słońca także z zachodu na wschód, ruch ten odbywa się po drodze kołowej, a słońce nie znajduje się w środku tego koła, nakoniec oś ziemska opisuje w ciągu prawie roku powierzchnię stożkową około osi prostopadłej do płaszczyzny ekliptyki. Wszystkie planety mają ruchy podobne do ruchów ziemi.

Oto myśli Kopernika, które ogłoszone w r. 1543 w pomnikowem dziele „De revolutionibus Orbium Coelestium („O obrotach ciał niebieskich“) popchnęły ludzkość całą na nowe tory!

*) Kopernik urodził się 19. lutego 1473 r., umarł, 21. maja 1543 r.

Nowa ta nauka była ogromnej doniosłości. Usuwając z dziedziny filozofji przyrody, tak zwane prawdy oczywiste, poddając każde zjawisko krytyce rozumowej i uważając świadectwo zmysłów nie już za istotną prawdę, ale tylko za stopień, który do poznania jej prowadzić może, Kopernik wskazuje nauce nowe drogi, nowe źródła.

Myśl ta przenosząc się z biegiem czasu z umiejętności fizycznej do sfery nauk biologicznych, a dalej i do nauk socjalnych, stała się podstawą, na której oparła się dzisiejsza cywilizacja.

Ale niestety obalanie starych bogów nie idzie bezkarnie, a podobnie jak i dziś jeszcze każda nowa nauka, nowa idea, zwalczyć wpierw musi uprzedzenia, przesądy, lub wreszcie pychę uznanych powag, tak i Kopernik spotkał tłumy wrogów i przeciwników, którzy ogniem i mieczem naukę jego zniszczyć postanowili.

(Dokończenie nastąpi).

A. Kornella.

Ruch narodowy na Szląsku.

Napisał

Wojciech Szukiewicz.

(ciąg dalszy)

„Związek katolików szląskich“, towarzystwo polityczne katolickie, zasługuje na zaznaczenie z kilku powodów. Po pierwsze dla tego, że występuje w obronie tak dobrze Polaków, jak Czechów szląskich. Po drugie, że na pierwszem miejscu stawia katolicyzm, a na drugiem narodowość, czego dowodzą wydawane przez Związek pisma. Bardzo pod tym względem charakterystyczny objaw stanowi zdanie, wyjęte z pisma ulotnego, agitacyjnego, wydanego przed ostatnimi wyborami do Sejmu w 1890 r. p. t. „Do wyborców Związku szląskich katolików“ (str. 6. u dołu i str. 7. u góry). „Kochani ziomkowie! jeżeli czterech naszych posłów w Księstwie cieszyńskiem przeprowadzimy, wtedy będzie już to znaczniejsza siła niż teraz, kiedyśmy mieli tylko dwóch. Wprawdzie jeszczeby to wiele nie znaczyło, atoli możemy mieć w Bogu nadzieją, że w opawskim strona narodowa przeprowadzi także dwóch posłów z gmin wiejskich, a *Niemcy za Opawą w niemieckich górach właśnie się gotują, aby przeprowadzić z gmin wiejskich posła katolickiego konserwatywnego, a w taki sposób wzrosłaby liczba naszych posłów do 7*“. Cała odezwa pisana jest bardzo złą, o pomstę do nieba wołającą polszczyzną, i oto trzecia cecha „Związku katolików szląskich“, który bardzo krzywem i niechętnem okiem patrzy na istnienie „Towarzystwa politycznego ludowego“, dla którego narodowość jest rzeczą pierwszej, a wyznanie drugiej wagi.

Jak mówiąc o dziennikarstwie, podkreśliliśmy bardzo doniosłe cywilizacyjno-narodowe znaczenie „Miesięcznika pedagogicznego“, tak mówiąc o stowarzyszeniach, musimy to samo uczynić względem „Polskiego kółka pedagogicznego w Ustroniu“, którego wartość zrozumiemy. wiedząc, że przeważna większość nauczycieli ludowych Polaków należy do niemieckich towarzystw pedagogicznych, niektórzy nawet jednocześnie do dwóch. Z wyjątkiem tow. w Bielsku i Cieszynie masę reszty niemieckich tow. pedagogicznych stanowią Polacy i to rozumie się całkiem dobrowolnie. Nic tedy dziwnego, że w Ks. Cieszyńskiem istnieje 9 tow. nauczycielskich niemieckich (deutscher paedagogischer Verein in Teschen; Landlehrerverein Teschen, Lehrerverein in Jablunkau, Lehrerverein in Freistadt, pädag. Verein in Bielitz, Lehrerverein in Alexanderfeld, Lehrerverein Skotschau, Lehrerverein in Schwarzwasser (Strumień), Lehrerverein in Friedek), jedno tow. czeskie: Učitelska jednota vychodniho Hesska; i jedno polskie: Kołko pedag. w Ustroniu. Kiedy tow. niem. liczyły w 1888 r. koło 450 członków, czeskie liczy przeszło 50, a polskie obecnie 47 (w tem nie nauczycieli 20!). Wysoce charakterycznym dla stosunków szląskich jest trzeci ustęp statutu „Polskiego kółka pedag. w Ustroniu“: *C. Język* § 6. Urzędowy język kółka jest polski. Gdyby nie było tego paragrafu mogłaby niebawem zapanować tryumfalnie wszechwładna niemczyzna podobnie, jak w innych stowarzyszeniach. Kółko pedag. w Ustroniu, kształci nauczycieli ludowych fachowo i budzi wśród nich mocno uśpione i pognębione uczucie narodowe.

Towarzystwo *Domu Narodowego* ma na celu stworzenie na Szląsku instytucji, której cel określą nam dokładnie wyjątki z pisma ulotnego p. t. „W sprawie *Domu Narodowego* w Cieszynie na Szląsku austrjackim“.

„Wszystkie te (szląskie) towarzystwa jednak, jakkolwiek pożyteczne, konieczne i — w stosunku do słabych sił naszych z pewnością dość liczne, nie mogą przecież ani w przybliżeniu objąć całości potrzeb narodowych, gdyż każde, spełniając swoje zadanie, w ramach zakreślonego sobie celu i prowadzących do niego środków pozostać musi. Całość spraw narodowych mogłaby jedynie taka instytucja ogarnąć, któraby nie mając żadnego szczególnego zadania przed sobą, a rozporządzając odpowiednimi środkami materjalnymi, wszędzie tam z pomocą spieszyć mogła, gdzieby chwilowy lub trwały interes rodzimego żywiołu tego wymagał. Instytucja taka mogłaby być ogniskiem, a poniekąd i podstawą wszelkich dążeń i usiłowań narodowych; mogłaby być siedzibą towarzystw naszych i regulatorką ich działań przez wzajemne zbliżanie ich do siebie“.

„*Dom Narodowy*“ stanie się według naszego przekonania wkrótce prawdziwą „*macierzą narodową*“ wszystkich usiłowań, zmierzających do odrodzenia, wzmocnienia i zabezpieczenia

żywiołu polskiego na kresach szląskich; opiekunem każdej zdrowej myśli narodowej, każdej pożytecznej dla społeczeństwa naszego inicjatywy, każdej sprawy, nie mającej, lub nie mogącej mieć osobnego organu działania, orędownikiem interesów narodowych zawsze i wszędzie, gdzie tego chwilowa lub stała będzie wymagać potrzeba, a z czasem może i najlepszym, bo na najogólniejszem stanowisko stojącym przedstawicielem naszym na zewnątrz".

A więc obok tego, że wszystkie nasze stowarzyszenia narodowe na Szląsku miałyby stałe i tanie pomieszczenie, obok tego, że byłyby razem skupione obob tego byłby *Dom Narodowy* dgniskiem polskości na Szląsku, ogniskiem na dzisiaj i na długo jedynem, jedyną widomą reprezentacją czysto polską, narodową. Instytucja taka miałaby niezawodnie ogromne moralne znaczenie, to też społeczeństwo galicyjskie winno wytrwale popierać materjalnie to przedsięwzięcie. Mimo, że Wydział w ostatniem sprawozdaniu za rok 1891 zaznacza bardzo pomyślny zwrot w dziejach *Domu Narodowego* przez skuteczne zainteresowanie się nim Polski całej, mimo to fundusz zebrany dotychczas wynosi zaledwie 8000 złr. w. a., a z tem budowy zaczynać jeszcze nie można. Zjazd „Związku towarzystw zaliczkowych i gospodarczych" w Cieszynie znaną uchwałą swoją poparł *Dom Narodowy* nie tylko materjalnie, ale i moralnie — aby dobry ten przykład zyskał w całej Polsce, a zwłaszcza Galicji jak najsilniejszy oddźwięk. Bierzmy sobie za wzór do naśladowania z jednej strony Czechów, z drugiej Rusinów galicyjskich i Słowaków, wszystkie trzy pobratymcze narody powznosiły sobie pyszne *Domy narodowe*, te doniosłe instytucje słowiańskie!

Dokończenie nastąpi.

PODCIĘTE SKRZYDŁA.

(Dokończenie)

Tak się też stało. Wziąłem się wreszcie do pracy, choć moje głupie zajęcie się jedną kobietą mocno mi w niej bruździło. Chciałem zrobić coś na wystawę i zabrałem się do modelowania grupy, zatytułowanej „U stóp Sławy"; oczywiście potrzebowałem modelki i tu właśnie stanęła mi w drodze nowa trudność, to jest sceny zazdrości mojego ideału. Próżne były wszystkie moje perswazje, Julka ani słuchać chciała o tem, bym, jak mówiła, »sprowadzał sobie jakieś dziewczęta« do pracowni, a kiedy dowodziłem, że bez modelki cała figura licha będzie warta, chciała zrobić dla sztuki takie ogromne poświęcenie, że aż ofiarowała się pozować sama.

Z deszczu pod rynnę! Nie chciałem powiedzieć jej wyraźnie, że nie jest zbudowaną odpowiednio, by jej kształty aż uwieczniać, bo to, choć zaślepiony, widziałem przecież, musiałem więc szukać wymówek i wykrętów, by się od spełnienia jej dobrych chęci uwolnić. Uśmiechała mi się wprawdzie myśl, że mógłbym ją mieć u siebie, jako modelkę, boć miałem dopiero dwadzieścia cztery lat, a więc krew młodą, gorącą, ale kochałem ją zabardzo, by jej nie uszanować. Po długich więc targach dałem najświętsze słowo, że modelki używać nie będę i zabrałem się do roboty na pamięć.

Julka odwiedzała mnie niekiedy w pracowni, ja jadałem u ojca, więc dużo byliśmy z sobą, a w dodatku spotykaliśmy się u znajomych, gdzie Julka otaczała mnie takimi czułościami, taką troskliwością, że to aż uwagę ogólną zwracać zaczęło. Zachowanie się jej dziwiło mnie, bo jeżeli tak ostentacyjnie okazywała światu, żeśmy sobie nie obojętni, dla czegóż nie pozwoliła mi wystąpić względem siebie w jakimś wyraźniejszym charakterze? Wszak już i żałobę zdjęła, a ja jej ociąganie zawsze tłómaczyłem sobie tem, że nie miała dość odwagi iść wbrew przyjętym przez świat zwyczajom i naszą miłość ukryć pragnęła przez czas żałoby. A ona, zdaje się, ośmielała mnie tylko obejściem swojem, bo jej pochlebiało, że młody chłopak i do tego "sławny" *in spe* artysta patrzy w nią, jak w tęczę.

U Stalickich bywałem, kiedy Julka na to pozwoliła; tam jedynie spędzałem parę godzin w otoczeniu tak przyjemnem i serdecznem, że jakaś błoga cisza obejmowała moje mocno naprężone nerwy. Z Lunią rozmawialiśmy, jak rodzeństwo, jak przyjaciele i o wszystkiem z nią mówić mogłem, bo była to kobieta wyższego umysłu i niezwykłej u nas inteligencji. Wypytywała mię o moją pracę, zachęcała do niej i mówiła o sztuce z takim szczerym zapałem, żem raz zauważył, że i ona jej poświęcić się winna.

— Panie Kazimierzu, można być wielką zwolenniczką sztuki, można umieć ją odczuć i nią się zachwycać, ale aby jej służyć, na to trzeba, powiedziałabym, być jej kochankiem, kapłanem dla niej tylko żyjącym.

— Więc pani sądzi, że arysta, prócz sztuki, nic już na świecie mieć nie powinien? Że mu nie wolno pragnąć innego szczęścia, niż to które ona daje, innej miłości, innego ukochania, prócz tej jedynej?

— Ja sądzę, że każda jego miłość musi zajmować dopiero drugie miejsce, że sztuka jest mu droższą nad wszystko.

— Zkąd też pani powziąć mogłaś takie poważne o artystach mniemanie? gdybym mniej znał panią, posądziłbym cię, że powtarzasz rzeczy, gdzieś wyczytane.

— Pan mnie tego nauczyłeś.

— Ja?

— Pamiętasz Pan ów dzień, gdyś żegnał się z nami, jadąc za granicę?

— Czyśmy mówili wtenczas o sztuce?

— To nie, ale pan tak się rwałeś do pracy, do studjów, tak spieszyłeś, tak byłeś uradowany. odjeżdżając rodzinę i przyjaciół, że mnie, młodą bardzo wówczas dziewczynę, aż to zastanowiło. Myślałam potem nieraz o tej chwili, starając się ją wytłumaczyć sobie i w ten sposób, może błędny, ją zrozumiałam.

Tu urwała i gorący rumieniec na chwilkę oblał jej miłą twarzyczkę — po raz też pierwszy starała się ukryć oczy, bo przy rozmowie miała zwyczaj patrzeć w oczy tego, z kim mówiła, jakby na dowód, że poza słowami jej fałsz się żaden nie kryje. Rumieniec jej musiał być zaraźliwy, bo i ja poczułem go na twarzy, gdym pomyślał: Dlaczego to dziecko jeszcze zachowało w pamięci mój odjazd i ówczesne zachowanie? Ja nie pamiętam wcale, co i jak z nią mówiłem. Dlaczego rozbierała potem te tak obojętne dla mnie fakta i jakim sposobem potrafiła przyjść do tak niesamolubnej konkluzji? Ta dobra, ładna dziewczyna chyba mnie kochała!

Była to pierwsza tajemnica, jaką miałem przed Julką, ale nie miałem sumienia wydać tej czystej i słodkiej dzieweczki na jej żarty i docinki. Nie przypuszczałem, by żartowała z niej przez złe serce, broń Boże, ale ona tak lubiła nieraz dowcipkować wesoło, a Zunia, to było takie młode jeszcze dziewczę, że możeby jej to przykrość zrobiło. Rozmowa ta miała ten tylko skutek, że bardzo rzadko potem odwiedzałem Stalickich. Straciłem więc i tę jedyną przystań, gdziem mógł uspokoić się trochę i zapomnieć, że mam nieszczęście kochać.

A było to dla mnie wielkie nieszczęście! Ciotka, a bardziej jeszcze ojciec zagniewani byli na mnie, że w Julce widzę jedyną, godną zaufania osobę, bo jak później się dowiedziałem, opowiadała im ona zwierzone sobie moje projekta niedojrzałe i co teraz robię, formalnie popisywała się dokładną znajomością, tego, co mnie dotyczyło. Było to wcale zręczne, bo w ten sposób rozżalała na mnie ojca i ciotkę, którzy na każdym kroku niezadowolenie swoje uczuwać mi dawali, a ja znów, nie mogąc dość dokładnie zrozumieć powodów jego, brałem to za chęć tylko stawiania zapory moim srrdecznym zapałom, za objaw jakiejś niedobrej zazdrości i nie tylko nie starałem się ich przejednać, ale nawet usuwałem się od nich coraz bardziej. To sobie do dziś wyrzucam. Julka łatwo domyślać się mogła, że moje ożenienie się z nią nie miało nadziei być przyjętem z radością przez ojca, choćby z tego powodu, że była tyle starszą odemnie; dla niej więc pewien rodzaj rozdźwięku między mną a moimi najbliższymi, mógł być tylko na rękę.

Opowiadano mi później, że swojej serdecznej przyjaciółce, (przyjaciółki miewają często długie języki), wynurzała się raz co do stosunku ze mną:

— Widzisz, droga Musiu, dziś, gdybym chciała, mieć go mogę, ale cóż to za karjera dla mnie? On jeszcze nic nie ma, ja straciłabym pensję, a nie myślę przecież żyć westchnieniami i pocałunkami, ani ubierać się w liście łopianu. Co innego, gdyby dał się poznać, wyrobił sobie imię sławnego artysty i, co za tem idzie, odpowiednie dochody.

A mnie równocześnie kołysała czułemi słówkami, powłoczystemi spojrzeniami, darzyła tajemnymi uściskami dłoni i odwiedzała w mojej pracowni! Jaka to bieda, że miłość jest ślepa! Mogłem był doskonale się bawić i nie zmarnować zdolności i życia, służąc jej za rezerwę tylko.

Przy opowiedzianych powyżej okolicznościach brakło mi do pracy swobodnej myśli, niechętnie wykończałem moją grupę i, widzę to dziś, była w całem znaczeniu tego słowa niedołężną, pominąwszy takie usterki elementarne jak za długie ramiona, a zbyt któtkie nogi, fałszywe naprężenie mięśni itp. które były wynikiem roboty bez modelu Na wystawie też praca moja zrobiła kompletne fiasco. Krytycy zawodowi nie zaniedbali mi odmówić wszelkich zdolności, wytknąć brak jakiegokolwiek polotu w kompozycji, brak pojęcia o anatomji i nakoniec odmówić nawet odrobiny gustu estetycznego, skoro ośmieliłem się wystawić »kulawą« Sławę, której zdobycie jest widocznie moim ideałem. Z drwinkami pisano, że trudno mi pozazdrościć takich aspiracji, ale też zaprzeczyć nie można, że jestem praktyczny: kulawych łatwiej dosięgnąć, niż prostych.

Był to dla mnie cios straszny. Zacząłem stronić od ludzi, bałem pokazać się między znajomemi, by mi kto nie powiedział, żem osioł, unikałem kolegów z obawy ich politowania i współczucia. Ojciec odczuł to równie silnie; wszak byłem jedyną jego nadzieją na przyszłość, marzył tylko o mojem powodzeniu i sławie. Zdaje mi się, że on rozumiał aż nazbyt dobrze powody mojego niepowodzenia, tem mniej też chętnem okiem patrzył na Julkę i wpływ jej na mnie.

Nie poszedłem do Stalickich, choć byłem pewien, że Zunia mogła mnie uspokoić i zrozumieć; nie poszedłem tak długo, aż przeczytałem jej kartę pośmiertną na rogu ulicy. Nie przypuszczajcie tylko że umarła z miłości dla mnie — umarła na tyfus. Kobiety, jak ona, umieją kochać szczerze, całą duszą, ale nie umierają z miłośnych zawodów, bo od ukochanego przez siebie nie wymagają nic zupełnie: umieją kochać bezinteresownie. A zresztą, czyż ona mię kochała? Ja nie wiem., czuję tylko, że była to jedyna kobieta, która uratować mnie mogła, ale i tę los usunął z mojej drogi.

Julka szydziła z mojej melancholji:

— Nie mogę zrozumieć doprawdy, żeby mężczyzna tak dał się przygnębić niefortunnemu sądowi jakiegoś pismaka! Wreszcie, straszna historja! Jeśli nie masz talentów artystycznych, dla czegóż nie miałbyś być czem innem? Urzędnikiem jakim, do wojska wstąpić...

Zerwałem się, jak obrzucony zarzewiem. Więc ma nie rozumieć mnie wcale? Ale za chwilę czułe spojrzenie tej kobiety ułagodziło mnie: zkądżeż mogłem wymagać, by ona, która tak mało miała sposobności pojąć sztukę, rozumiała jej adepta? Kiedyś ja jej umysł rozwinę, jej duszy przypnę skrzydła, nauczę ją rozumieć to, co ja kocham. Zapomniałem znów o różnicy wieku między nami, rojąc takie marzenia.

Na wiadomość o śmierci Zuni, Julka przy obiedzie zaczęła mi dogadywać, żem się powinien ubrać w żałobę, że to wybrana mojego serca mnie opuściła i t. d. Spojrzałem na nią zdziwiony. Czyż ona mogła w ten sposób żartować ze mnie?

Julka nie chciała jeszcze postradać wpływów swoich nademną, otaczała mnie znów pieszczotami i zaczęła wciągać w towarzystwa, rzekomo dla rozproszenia mojego przygnębienia. W ten sposób namówiła mnie raz do odwiedzenia Podbiełłów. Tam pójść najmniej rad byłem, bo tam pierwszy raz spotkałem Lunię, a teraz miałem jej już nigdy nie zobaczyć. Doznawałem uczucia, jakbym postradał ukochaną siostrę. Ale Julce odmówić nie miałem odwagi, bojąc się wybuchów jej zazdrości, które już nieraz dały mi się we znaki. Więc zeszliśmy się tam wieczorem. Julka, ubrana strojnie a nawet bogato, w jakiejś jasnej sukni, wydawała mi się dziś bardzo urocza, ale nie była jakoś dobrze dla mnie usposobioną. Zastaliśmy, jak tam zwykle bywało, kilka osób obcych, a ja, nierad zbliżać się do liczniejszego towarzystwa, a oddalony od Julki, która dziś wszystkich bawiła swoim wesołym humorem i rzucanemi dowcipami, wysunąłem się do sąsiedniego pokoju. Siedziałem tam dość długo samotnie, wreszcie zapragnąłem choć spojrzyć na Julkę i przybliżyłem się do drzwi salonu, ale tu głos jej, ironją zabarwiony w tej chwili mnie powstrzymał. Przystanąłem, zasłoniony portjerą i usłyszałem:

— Jak też pan mogłeś przypuszczać coś podobnego! Ja miałabym kochać tę zapoznaną wielkość? Tego próżniaka, który udaje artystę, by mieć prawo nic nie robić?

— Ależ pani tyle dawała mu dowodów swej dobroci...

— Muszę przecież, ze względu na jego ojca, który bardzo mnie kocha i którego ja poważam, być dla tego panicza pobłażliwą.

— Ależ powszechnie mówią, że pani zamierzasz wyjść za niego!

— Przez litość! Tożbym go chyba musiała uczyć tego wszystkiego, czego się nie nauczył dotąd. Musiałabym zrobić zeń człowieka, a to byłoby niewdzięczne już zadanie, bo trochę zapóźno na taką elementarną naukę. Zresztą, jakże pan chcesz, bym go ściągnęła z piedestału, na którym się sam ustawił! Niech sobie pozuje na wielkość dalej, ja już,niestety — (tu głos je przycichł), gdzieindziej oddałam serce.

— I któż jest tym szczęśliwcem? — posłyszałem głos wyraźnie „pół idjoty“ Podbiełły.

— Mój Boże, czyż to odgadnąć tak trudno? Czyż już tylokrotnie nie zdradziłam się przed panem?

— Nie śmiem rozumieć tego tak, jakbym pragnął, nie chcę wydać się pani zuchwałym... Ale pani wiesz, że nie znam piękniejszej nad panią osoby, że pragnąłbym złożyć cały mój majątek u stóp pani, obsypywać panią wszelkiemi możliwemi zbytkami...

— Nie pragnę nic, tylko kochającego serca!

— Och, ja panią kocham od dawna! Kochałem się wpierw w Luni, nim pani przyjechała, no i proszę, ona mnie nie chciała! Jak to dobrze, bo a nuż nie byłaby umarła i ja teraz miałbym ręce związane na resztę życia! A to mama chciała mnie tak ubrać. Więc pani pozwolisz mi uważać się za swego narzeczonego? Możemy zaraz o tem powiedzieć rodzicom.

Nie wiem już, co odpowiedziała, bo jak szalony przebiegłem koło nich, chwyciłem mechanicznie jakiś kapelusz w przedpokoju i pędziłem po chwili przez miasto. Gdym wpadł do mojej pracowni napotkaną w kącie laską potłukłem wszystkie modele moje, co się laską rozbić nie dało, chwytałem w ręce i rzucałem o ziemię, spychałem z podstaw, na których stały, wreszcie wysilony padłem koło jakieś kupy gruzów i straciłem przytomność.

Nazajutrz dopiero wieczorem ojciec przyszedł zajrzeć i zabrał mnie do siebie. Julka, choć cały dzień mnie nie było, nie zwróciła wcale na to uwagi — wszak szła tak dobrze za mąż, a ja ani sławny, ani bogaty nie wiele wart byłem dla niej. Dobry do rozproszenia nudów wdowich!

Przechorowałem ciężko, bo uciekając przed widokiem ostatnich rozwianych, a drogich złudzeń, jakiemi była miłość i wiara w Julkę i przeleżawszy kilka godzin w wilgoci, przeziębiłem się i dostałem zapalenia płuc. Julki głos, a nawet świadomość jej obecności w pobliżu wprawiały mnie w takie rozdrażnienie, że ojciec by mnie uspokoić, musiał poprosić ją, by zechciała łaskawie ulokować gdzieindziej swą szacowną osobę.

Przez życzliwość i szacunek zapewne opowiadała potem swoim znajomym, że ponieważ nie chciała oddać ręki wykolejonemu synowi, ojciec przez zemstę pozbył się jej z domu.

Ojciec dzień i noc mnie pielęgnował, ale kiedy wreszcie wstałem, byłem tak bardzo osłabiony, taki wątły i zniechęcony, że na starca raczej, a nie dwudziestopięcioletniego młodzieńca wyglądałem. Lekarze wywieźć mnie kazali w góry, co też ojciec uczynił. Wróciłem zdrów fizycznie, ale pełen niewiary w siebie i ludzi, na rzeźby patrzeć nie mogłem, a na myśl samą, żebym wziąć miał jeszcze kiedy szpachtę lub dłuto w rękę, dreszcz zgrozy mnie przechodził.

Zwolna przyszedłem o tyle do równowagi,

żem pomyślał o pracy i począł piórem próbować sił swoich; dziś jestem lichym może pisarzem, ale co piszę, to z serca i przekonania. Nie napisałbym tylko za nic w świecie krytyki utworu sztuki.

Julka za pieniądze p. Podbiełły stroi się i bawi. Widujecie ją przecie wlokącą za sobą jako balast, małżonka. Potrzebny jej jako sztafaż. Ja nie mam do niej żalu za to, że jego przeniosła nademnie, a tylko za to, że wpływu na mnie, który tak łatwo zdobyła, zamiast do rozwinięcia moich sił i talentu, użyła do zniechęcenia mnie i pogrzebania moich zdolności. Pomyślcie tylko, gdyby moje erotyczne zapały były uwieńczone otrzymaniem jej ręki, gdyby był się nie nawinął bogaty Podbiełło, jakieby było moje życie? Czy mogłem być szczęśliwym z taką Julką?

Żem się nie ożenił później, nie Julka temu winna, o nie! Nie wszystkie przecież takie, jak ona. Znałem dużo kobiet w życiu, dużo takich, którem podziwiał, uwielbiał i szanował, tylko pokochać nie mogłem żadnej, bom raz kochał prawdziwie. Nie ożeniłem się, bom się już nie mógł potem zdecydować na krok stanowczy, namyślałem się tak długo, aż mnie ubiegł kto inny. A zresztą, czy mi to źle tak, jak jest? Przywykłem do samotności, ułożyłem sobie życie wygodnie i dziś temu, ktoby mnie do ożenienia się namawiał, gotówem odpowiedzieć Fiszerowskiem: „Wozu mir eine Frau? Hab' doch meinen Schnellsieder!“

Marja Minasiewiczowa.

PAN WASZEK.

Jakgdyby djabeł uciekał z domu, tak szybko otworzyło się okno w mieszkaniu pana Horalka, introligatora sławnego w całem Nowem Mieście, w całej Pradze, w całym powiecie, nawet w całych Czechach.

Jak utrzymywał, nie było książki, której by nie oprawiał chociaż w jednym egzemplarzu, nie było oprawy, którejby nie widział, w końcu nie było w kunszcie introligatorskim, czegoby on — pan Horalek — nie potrafił.

Otwarł okno, założył na haczyki obie połówki i wychylił się, aby wyjrzeć na prawo i na lewo. Na ulicy nie było nikogo, było bowiem jeszcze bardzo rano, tylko na przeciwko pod „pstrokatym księżycem“ [1]) otwierał sklepik pan Patek, zacny szewc i sąsiad podskalski [2]) oraz członek stowarzyszenia strzelców praskich.

[1]) Domy w Pradze mają godła, częstokroć dziwaczne. *Przyp. tłóm.*

[2]) Podskale, Część Nowego Miasta w Pradze, położona nizko nad brzegiem Wełtawy. *Przyp. tłóm.*

— Dzień dobry, Patku! — ozwał się Horalek troszkę ospale.

— Nawzajem, nawzajem, Horalku — zawołał Patek i dodał „paf!“

— Co to znaczy „paf“? zapytał ze zdziwieniem pan Horalek.

— Paf... będzie pogoda, kiedy mówię „paf“ to znaczy, że będzie pogoda.

Pan Horalek wlepił weń oczy i rzekł:

— Hmm, każdy ma jakieś przyzwyczajenie. Pan Waszek także miał podobny zwyczaj, mawiał on zwykle: ftt! i to znaczyło, że będzie słota!

— Pan Waszek? — pytał Patek. Co to za jeden?

— Pan Waszek? Wyście go nie znali?

— Aha! — rzekł Patek, jak gdyby już wiedział, o kim mowa i przymocowywał drzwi żelaznemi hakami do muru. Potem wszedł do sklepiku, pan Horalek zaś odstąpił w głąb izby.

Gdy odchodził od okna, właśnie pani Horalkowa przynosiła z kuchni śniadanie. Postawiła na stole cztery garnuszki kawy, powróciła do kuchni po karafkę świeżej wody i potem usiadła, a mąż obok niej i gwizdał.

Otwarły się drzwi pracowni i weszli czeladnik Józef i terminator Ignac. I oni siedli przy stole, ale wkrótce powstali od próżnych garnuszków. Pan Horalek i małżonka jego, posiedzieli trochę dłużej, nareszcie i oni wstali, a gdy gospodyni sprzątała ze stołu, pan Horalek udał się do swojej pracowni.

W taki sposób zaczynał się każdy niemal dzień pana Horalka. Wstawał bardzo rano, w lecie otwierał zaraz okno, pił kawę, potem wraz z czeladnikiem i terminatorem pracował prawie cały dzień bez odpoczynku, z wyjątkiem czasu od dwunastej do drugiej po południu, wtedy jadł obiad, a po obiedzie czytał. Do czytania pan Horalek „czuł słabość“, a gdy mu żona robiła wymówki, że więcej książek przeczyta, aniżeli oprawi, wnet usłyszała, że „pan Waszek“ poczytywał za głupca każdego, kto mało czytał. A co powiedział pan Waszek, tego trzymał się pan Horalek. Mimochodem mówiąc, ten pan Waszek, o którym pan Horalek wspominał tak często, sprawił pani Horalkowej wiele przykrości. Nie mogła nigdy nakłonić męża do swoich pojęć, on zaś rządził się własnemi zasadami, a gdy je chciała obalić, mawiał tylko: »Pan Waszek robił tak samo«. Pani Horalkowa nie znała owego pana Waszka, nie widziała go nigdy, nigdy z nim nie mówiła, ale przeklęła go tysiąc razy.

Wszelako tak zdarzyło się nietylko jej, ale i każdemu, kto z panem Horalkiem wdał się w rozmowę. Szczególniej czeladnik Józef wściekał się na pana Waszka, jeszcze więcej aniżeli pani Horalkowa.

— Posłuchaj, Józef — mówił nieraz pan Horalek, biorąc z rąk czeladnika skończoną robotę — tak nędznie pozłacanego grzbietu jeszcze

nie widziałem. Pan Waszek miał dużo książek, ale nie było u niego ani jednej tak licho odrobionej oprawy. Na drugi raz spraw się lepiej!

Drugi raz, gdy Józef w nieobecności majstra przyjął do oprawy jakąś książkę, której jeszcze nie widział, wnet po przyjściu pana Horalka wołał:

— Panie majstrze, tegośmy jeszcze nie oprawiali!

Wszelako pan majster popatrzył na książkę z pod okularów i powiedział ozięble:

— Nic nowego. Taką samą już dawno oprawiałem dla pana Waszka. Zrobiłem na niej zielony grzbiet i rogi.

Jednem słowem pan Horalek od rana do wieczora powoływał się na pana Waszka. Nie było historji, którejby nie słyszał od pana Waszka nie było przygody na świecie, o którejby nie wspominał pan Waszek, nie było nic nowego coby nie przytrafiło się i panu Waszkowi, albo przynajmniej o czem pan Waszek nie byłby słyszał.

— Panie Horalku — mówili niegdyś do niego sąsiedzi na powitanie „u Trajców“ [3]) — szkoda, że pana tu wczoraj nie było. Stary Kocanda miał szalone szczęście; ledwośmy do kart siedli, już trzy razy raz po razu zrobił pięćdziesiąt dwa.

Pan Horalek napił się piwa i rzekł z całym spokojem:

— Hm, pewnego razu grałem z panem Waszkiem i ten miał pięćdziesiąt dwa, sześć razy, raz po razu,

Pan Waszek dla pana Horalka był tem, czem dla gracza atut. Wychodził w niego przy każdej sposobności, każdego nim przybił i doszło do tego, że i u innych ludzi, to jest u niektórych znajomych Horalka, pan Waszek wszedł w przysłowie.

— Powiedział to pan Waszek.

— Który to Waszek?

— No ten, co go zna pan Horalek.

D. n.

Z literatury politycznej.

(*Głos trzeci, napisał Antoni Fibich. Tarnów 1892*).

Jeżeli teraz dopiero, po upływie kilku miesięcy od pojawienia się tej książki, chcemy o niej powiedzieć słów parę, to pochodzi to nie stąd, jakobyśmy zapoznawali jej ważność. Przeciwnie, dla tego właśnie, że ważność jej uznajemy, chcielibyśmy choć teraz zwrócić na nią uwagę naszych czytelników.

Sprawa, w której p. Fibich, notarjusz w Mielcu, ujrzał się spowodowanym do zabrania głosu trzeciego, jest to odwieczna, a u nas bardziej niż gdzieindziej żywotna i bardziej zawikłana sprawa sporu między arystokracją i demokracją. Gdzieindziej w Europie, nie wykluczając najzacofańszych krajów spór ten przycichł. Nie powiemy, by był on stanowczo zakończony, lecz bądź co bądź zwycięstwo demokracji jest wielkie i trwałe, demokratyzowanie się społeczeństwa postępuje ogromnymi krokami naprzód, znajdując potężną oporę w społeczeństwie północnoamerykańskiem, które potężniej i szybciej, niż jakiekolwiek inne dotychczas w dziejach znane społeczeństwo, rozwija się na podstawach ściśle demokratycznych i w którem nawet sporu o demokrację lub arystokrację niema i nigdy nie było.

O co właściwie chodzi stronom walczącym ze sobą? W Europie spór między arystokracją i demokracją zaczyna zwolna ale stanowczo przechodzić na pole społeczne. Od czasu, gdy gilotyna zachwiała wiarę w błękitny kolor krwi rodów arystokratycznych, gdy rok 1848 i następujące po nim katastrofy dopuściły prawie wszystkie ludy Europy do współudziału w rządach, które dawniej były przywilejem owych rodów, gdy nowoczesny militaryzm uniósł dawnych rycerzy i powołał również całe narody pod broń, rola arystokracji właściwie skończyła się bezpowrotnie. Mówię o arystokracji w dawnem, rodowem znaczeniu. Cywilizacja nowsza otwiera natomiast na oścież wrota dla wzrostu i rozwoju nowej arystokracji i z jednej strony arystokracji pieniężnej, potężnej nagromadzonymi zasobami, spekulacją i wyzyskiwaniem całych państw, całych narodów, z drugiej strony arystokracji rzeczywiście przyszłościowej, arystokracji myśli, ducha, talentu i pracy. W naszych czasach Europa cała, cały świat cywilizowany jest widownią walki demosu—ludu ubogiego, ciemnego i wyzyskiwanego z ową arystokracją pieniężną, która potrafiła zabrać w swe ręce wszystkie resztki przywilejów dawnej arystokracji rodowej, skoligacić się z nią w wielu krajach. Po czyjej stronie będzie zwycięstwo, to już dziś nie ulega wątpliwości. Arystokracja ducha i pracy walki żadnej nie roznieci, gdyż przywilejów żadnych nie pożąda.

Wcale nie tak wyraźne są cele i zasady, o które toczy się walka między arystokracją i demokracją polską. Ani w głosie pierwszym — znanej książce hr. Tarnowskiego „Z doświadczeń i rozmyślań“, ani w głosie drugim — bezimiennej broszurze „Dwie opinje“, ani ostatecznie i w głosie trzecim p. Fibicha, nie widzimy dokładnie, o co chodzi. Pardon! cofnę potrosze to twierdzenie. Z książki hr. Tarnowskiego widać było, że autorowi chodzi o zatrzymanie »wpływów i stanowisk«, a więc władzy i przywilejów, że pragnie on, by szlachta nie traciła majątków, a więc by na polskim gruncie sama, bez obcych intruzów odegrała rolę także arystokracji plutokratycznej. To dość wyraźne. L[illegible] czego chcą demokraci?

Odpowiada nam na to p. Fibich w swe[illegible] dość szczegółowo, ale nie dość jasno: „N[illegible] podziału na kurje, na dworskie i gmi[illegible]

[3]) W piwiarni tego imienia gdzie grają także i w karty. *Przyp. tłom.*

Chcemy oświaty taniej, o ile możności bezpłatnie nabytej, oświaty w tych właśnie ciemnych jeszcze warstwach, które najwięcej światła potrzebują. Chcemy równego rozłożenia ciężarów i dziwimy się, dla czego właściciel gruntu ma wyłącznie ponosić koszta komunikacji, z których korzysta w równej mierze kupiec, bankier, urzędnik. Chcemy usunięcia wszelkiego wyzyskiwania i nie możemy pojąć, dla czego rząd ma mieć w tym względzie monopol i tworzyć proletarjat urzędniczy. Z drugiej strony potępiamy stanowczo wszelką arystokrację au rebours. Ani szlachta, ani kapitał, ani nauka nie może wyłącznie panować, ale też nie może wyłącznie rządzić włościanin lub wyrobnik. Wstrętne nam są hasła siejące nienawiść przeciw temu, co uczciwa tradycja szanować nam każe, przeciw wszystkiemu, co wyższe rezultatem pracy i inteligencji. Chcemy opieki dla słabszych ekonomicznie lub umysłowo, dla pracy wobec kapitału, ale nie chcemy dla nich zniszczenia osiągniętych już wyników pracy i inteligencji. Ułatwić trzeba robotnikowi dojście do kapitału, ciemnemu do oświaty, a wszystkim do wyższego moralnego poziomu, niech ogół się wznosi, ale nie upada. Chwile burzy społecznej, w której najniższe warstwy w szalonym obłędzie niszczą wszystko bez wyjątku, co przeszłość wzniosła, wszystko co od nich wyższe, jak: epoka terroryzmu, komuny paryskiej, a w części i nasza katastrofa 1846 r. są i muszą być na szczęście krótkotrwałe, w każdym jednak razie ciężką są dla ludzkości i cywilizacji klęską" (str. 33—34). Czy z tych słów, niewątpliwie szczerych, może ktokolwiekbądź powziąć wyobrażenie, czem właściwie jest demokracja polska obecna? Nie razi, gdy słyszymy od histerycznej kobiety: tego nie chcę i tego i dziesiątego nie chcę, a czego chcę, i sama dobrze nie wiem. Od stronnictw politycznych można wymagać precyzji w formułowaniu dążeń i celów. Że demokracja polska chce „oświaty taniej i ile możności bezpłatnej", to p. Fibich w ustępie powyższym powtarza dwa razy, lecz jaką oświatę, jaki stopień oświaty ma na myśli, o tem nic nie mówi. Czy umiejętność czytania i pisania, czy „oświatę" szkół ludowych, czy ulotne wykształcenie? Wszak to różnica znaczna! W jaki sposób urządzić, by ta oświata była tanią a nawet „o ile możności" niczego nie kosztowała? Wszakże z nieba jej Pan Bóg nie spuści, nauczycielom płacić trzeba, gmachy szkolne budować, bibljoteki, muzea i t. p. także kosztują. Cóż więc znaczy tania oświata, kiedy dziś wszyscy na świecie pożądają jak najdroższej, tj. jak najszerszej, najzupełniejszej oświaty? Czy może demokracja nasza ma na myśli dwie kategorje oświaty: jednę droższą, dla siebie, a drugą, tanią, tuzinkową lub zdawkową, dla prostaczków?

Demokracja polska, zdaniem p. Fibicha, chce równego rozłożenia ciężarów. O jakich ciężarach tu mowa? Czy tylko o podatkach i prestacjach drogowych, dla których *równy* rozkład byłby najniesprawiedliwszym, a trzeba dążyć do *proporcjalnego* rozkładu. Czy tu chodzi o inne ciężary społecznego pożycia? Dąży do usunięcia wszelkiego wyzyskiwania, lecz zarazem przypuszcza, że nierówność ekonomiczna, ubóstwo, a więc i wyzyskiwanie, są tak samo wieczne i nieuchronne, jak choroby i śmierć, że kategorje robotnika, kapitalisty, proletarjusza, i c. k. notarjusza są również wieczne i przez samego Boga ustanowione. Potępia wszelką arystokrację, nietylko rodową, ale i umysłową, lecz zarazem ze wstrętem odwraca się od tych haseł, które „sieją nienawiść przeciw temu, co uczciwa tradycja szanować nam każe", zapominając, że uczciwa, najuczciwsza, a zdaniem hr. Tarnowskiego, jedynie uczciwa tradycja każe szanować właśnie szlachtę i *wszystkie bez wyjątku* jej czyny dziejowe.

Jeżeliśmy powyżej spróbowali poddać przyostrej może dyssekcji jeden *zasadniczy* zresztą ustęp z książki p. Fibicha, to uczyniliśmy to wcale nie dla uszczuplenia jej wartości. Niejasność programu polskiej demokracji na galicyjskim gruncie, nie jest jego winą. Wynika ona z jej stanowiska eklektycznego, z braku skrystalizowania się jej społecznej podstawy. Wyrosła w miastach, wychowana na doktrynach zachodnio-europejskich w czasie, gdy doktryny te w Europie już się przeżywać zaczęły, czuje ona dziś dobrze braki tych doktryn — liberalnych i burżoazyjnych — a z drugiej strony widzi, że w miastach polskich nawet dla takich doktryn wyrobionego gruntu społecznego jeszcze niema. Stąd jej program przeważnie negacyjny, przeważnie teoretyczny. Krytyka jest jej najsilniejszą stroną, najważniejszem zadaniem, chociaż bez wyraźnie określonych ideałów społecznych, krytyka ta nieraz wyradza się w bezładne polemizowanie. Nie mogąc stać się demokracją burżuazyjną, a z drugiej strony nie chcąc stać się demokracją robotniczą, ani radykalną, chłopską, większość obecnej demokracji chwieje się między tymi prądami, jak trzcina od wiatru, w praktyce chyli się najbardziej ku stronnictwu, z którem w teorji najwięcej polemizuje.

Pomijając tę stronę zasadniczą, książka p. Fibicha jest rzeczą nadzwyczaj zajmującą, obfitą w myśli trzeźwe i rozumne, świadczącą o niepospolitej inteligencji i obszernem oczytaniu autora. Lecz główną jej wartość stanowi ta okoliczność, że jest ona wyrazem opinji światłej inteligencji prowincjonalnej, stojącej zdala od codziennych utarczek gazeciarskich, bliższej do rdzenia ludowego, żywiej odczuwającej wielkie, piekące potrzeby chwili. Z tego względu „Głos trzeci" zasługuje na najżywszą uwagę ogółu. Dodać przytem należy, że rzecz napisana jest żywo i pięknie, przejęta gorącem uczuciem i odznacza się przytem tonem spokojnym i szlachetnym.

Iw. Franko.